

Węgierskie zające

LUDWIK KAMIŃSKI

Zanim zostanie się myśliwym, zazwyczaj marzy się o pozyskaniu dużego dzika lub jelenia. Drobną zwierzynę traktujemy marginalnie, gdyż panuje przekonanie, że strzelanie do szaraków czy kuropatw jest łatwe i niezbyt ciekawe. Wszystkich, którzy myślą inaczej, zapraszam na polowanie na Węgry.



Arch. L. Kamińskiego (5)

Po raz pierwszy wybrałem się na łowy na Węgry trzy lata temu. Mieszkam w zachodniej Polsce, gdzie o polowaniach na zające już dawno zapomniano, a historie o dziesiątkach szaraków na pokocie pojawiają się w opowieściach starych myśliwych niczym biała dama – wszyscy o niej słyszeli, ale nikt jej nie widział. Na zające polował mój ojciec, a smak przyrządzanego z nich przez matkę pasztetu długo towarzyszył mi jako jedno ze wspomnień dzieciństwa. Intensywnie szukałem w Polsce miejsc, gdzie można pozyskać szaraki. Obiecywano mi wiele, ale relacje znajomych przeczyły zapewnieniom organizatorów. Bałem się, że

zamiast wspaniałej przygody przeżyję rozczarowanie i te złe doświadczenia sprawią, że już nigdy się nie zdecyduję na kolejną taką wyprawę. I wtedy zadzwonił kolega z propozycją wyjazdu na Węgry. Zgodziłem się, choć nie byłem specjalnie przekonany – zrobiłem to raczej dla towarzystwa, kraj ten bowiem bardziej kojarzył mi się z wakacjami nad Balatonem niż zajęczymi łowami.

Polak, Węgier – dwa bratanki

Wyjechaliśmy na początku grudnia na trzydniowe polowanie. Po drodze z zadróżką podziwiałem znakomite słowackie i węgierskie autostrady. Zatrzymali-

śmy się w dobrym hotelu z basenami termalnymi w miejscowości Mórahalom koło Segedynu, oddalonym o 20 km od łowiska. Jak się wkrótce okazało, obecność basenów w hotelu była zbawienna, ponieważ po całym dniu na łowach mogliśmy się w nich zregenerować, co było skuteczniejsze niż najlepszy masaż.

Pierwszy dzień rozpoczął się odprawą w siedzibie węgierskiego koła łowieckiego, wpisaniem się do książki ewidencji i odbiorem pozwoleń na wykonywanie polowania, które (oprócz Europejskiej karty broni palnej) każdy obcokrajowiec polujący na Węgrzech powinien mieć. Gdy wyjechaliśmy w teren, przeżyłem zaskoczenie, polscy myśliwi na przemian z węgierskimi naganiaczami zostali bowiem ustawieni w kształt litery U, zamkniętej u góry przez dwóch naszych kolegów. Ta linia myśliwych, utrzymywana w szyku przez prowadzącego polowanie, cały czas przesuwiała się do przodu, a rwące się z bliskiej odległości szaraki stanowiły łatwy cel.

Dużą niespodzianką była dla nas praca wyżłów węgierskich. Te świetnie wyszkolone psy aportowały zdobycz, dzięki czemu ułatwiały pracę naganiaczom. Organizacja łowów na zające na Węgrzech różni się od tego, do czego przyzwyczajeni są polscy myśliwi, a samo polowanie wymaga refleksu i dobrej kondycji. Jednak widok dziesiątków podrywających się kotów rekompensował wszelkie niedogodności.

Każdego dnia polowanie trwało od godziny 8.00 do 16.00, z przerwą na posiłek w terenie, i kończyło się uroczystym pokotem, wzniesieniem toastu z palinki i biesiadą w kwaterze myśliwskiej, gdzie na stole zamiast bigosu królował gulasz. Trzeba podkreślić, że spotkaliśmy się z niezwykle ciepłym przyjęciem ze strony węgierskich myśliwych, a także obser-



wowaliśmy bardzo dobre relacje między członkami goszczącego nas koła i miejscową ludnością. Każdy uczestnik łowów wrócił z przynajmniej dwudziestoma szarakami.

Po tym wyjeździe byliśmy bogatsi o wiele doświadczeń i spostrzeżeń. Zrozumieliśmy, że najlepiej jest polować na zajęce – tak jak sugerują Węgrzy – zaraz po otwarciu sezonu łowieckiego, a więc w październiku i listopadzie, ponieważ wtedy nie ma błota i szaraków jest najwięcej. Byliśmy pewni, że w kolejnym sezonie chcemy powtórzyć naszą wyprawę.

dobrego nigdy za wiele

W 2010 roku znowu pojechałem na Węgry. Był to jednak ciężki okres dla zajęcy, ponieważ zimna i wilgotna wiosna oraz deszczowe lato spowodowały liczne podtopienia w całym kraju. W wielu miejscach stała woda, która utrudniała polowanie. Choć szaraków było trochę mniej niż poprzednim razem, i tak każdy myśliwy zawiózł do domu po kilkanaście sztuk. Z dzisiejszej perspektywy stwierdzam, że wówczas nie wierzyłem, iż stan zajęcy może się tak szybko odbudować. Sądziłem, że po tym feralnym 2010 roku Węgrzy będą potrzebowali na to kilku sezonów, tym bardziej że prowadzą gospodarkę rolną wielkoobszarową i monokulturową, co na pewno nie pomaga drobnej zwierzynie w bytowaniu.

Z kolei zeszłoroczna wyprawa była dla mnie całkiem nowym doświadczeniem, ponieważ jechaliśmy do innego koła łowieckiego, mającego siedzibę w małej miejscowości Martfu, oddalonej od Budapesztu o 120 kilometrów. Wyjazd został też zorganizowany we wcześniejszym terminie – w końcu października. Polowanie rozpoczęło się tak samo

sprawnie jak w poprzednich latach. Pojechaliliśmy na pierwszy miot i ja, weteran łowów na Węgrzech, przeżyłem szok: zajęcy były dziesiątki, wydawało się nam, że za każdą grudą ziemi siedzi kot, przez co trudno się było skoncentrować.

Organizator wyjazdu uprzedzał nas, że koło w Martfu jest jednym z najlepszych w kraju, jeśli chodzi o liczebność zajęcy ➡





goda: ziemia była sucha, co bardzo ułatwiało poruszanie się po polu, nie musieliśmy też zakładać grubych ubrań.

Pod koniec każdego dnia w naszej dwięcioosobowej grupie mieliśmy na pokocie ponad sto zajęcy i kilkanaście dzikich bażantów, które żyją tu w licznych remizach śródpolnych. Najlepsze efekty, jak twierdzą Węgrzy, można jednak uzyskać, jeśli w łowach uczestniczy 15–20 osób. Optymalny czas polowania wynosi trzy dni – to zbyt krótko, żeby się znudzić, ale wystarczająco długo, by się nacieszyć i nasycić łowami na zajęcia.

Dowiedziałem się, że w tym roku na Węgrzech jest wyjątkowo dużo szaraków, bo już druga z kolei wiosna i lato są dla nich pogodowo niezwykle łaskawe. Ta radosna dla mnie wiadomość przyprawia niestety o ból głowy zarządy tamtejszych kół łowieckich, ponieważ – tak samo jak my – mają do zapłacenia odszkodowania za szkody łowieckie (my głównie za wyrażane przez dziki, Węgrzy – przez zajęcia). Już zaczynam poważnie myśleć o poprawieniu formy strzeleckiej. W końcu zeszłoroczny tytuł króla polowania do czegoś zobowiązuje, a rodzina i znajomi, którzy jedli pasztet z węgierskiego zajęcia, pytają, czy w tym roku też się wybieram do naszych „bratanków”. ✘

(w planie rocznym ma do odstrzału 1400 osobników), ale nikt z nas w życiu nie widział tylu szaraków naraz. Mieliśmy wrażenie, że urzeczywistniają się opowieści naszych ojców, którzy z nutą nostalgii wspominali łowy w Polsce w latach 50. i 60. ubiegłego wieku. Tym razem polowaliśmy trochę innym sposobem niż w latach poprzednich: byliśmy

ustawieni na przemian z węgierskimi naganiaczami na jednej linii, zamkniętej na flankach przez naszych myśliwych. Zajęcy było tak dużo, że nie trzeba było zamykać pola od góry przez dwóch myśliwych, bo każdy z nas już po pierwszym miocie strzelił ich tyle, że spokojnie mogliśmy wracać do domu. Polowaniu sprzyjała też ciepła październikowa po-

